ROMANS I POWIEŚĆ

Rok XIX Warszawa, dnia 10 Września 1927 roku Nr. 37

J. KESSEL i H. IZWOLSKA

35)

ŚLEPOTA WŁADCÓW

Barnew udał się do telefonu. Wracając, dostrzegł Laurentjewa.

— Jak wygląda sprawa? — zapytał Piotr.

— Telefonowałem do redakcji, aby nie zatrzymali zbyt wiele miejsca dla sprawy.

— Już wiesz? — zawołał Laurentjew, zaskoczony tą odpowiedzią.

— Nie, zwyczajne przeczucie.

— Słuchaj Wania, twój węch jest wart więcej od wszelkich informacyj.

Laurentjew był zgnębiony. Jedyny być może, z pośród kolegów, śledził za sprawą z głębszem uczuciem, nie powodując się tylko zwykłą ciekawością zawodową. Spodziewał się zachwiania rządu, nie dowierzał intuicji Barnewa.

— Nie — szepnął — nie ośmielą się.

Następnie chłostany własnemi słowami:

— Gdyby mogli zdusić sprawę, byłoby to już zrobione. Dzisiaj jest zapóźno.

Barnew wyciągnął stary, pękaty zegarek.

— Przekonamy się za pół godziny, — odparł.— Teraz muszę się napić, bo inaczej zasnę.

Piotr zaczął przysłuchiwać się rozmowom na korytarzach. I jemu udzieliło się niebawem ogólne podniecenie. Lecz z kim dzielić tę gorączkę?

Wzdrygnął się ze wstrętu na myśl o zbliżeniu do ludzi przybyłych z ciekawości, względów zawodowych, lub żądnych sensacyjnego skandalu.

Pomyślał:

„Gdyby był tu Jerzy!"

Przypomniał sobie natychmiast, że widział Dolina po raz ostatni w Dumie, podczas mowy Puryszkiewicza. Miało to miejsce piętnastego grudnia. Minął już miesiąc od tego czasu. Laurentjew pośród pracy i zabaw nie zauważył jego nieobecności. Nagle uderzyła go myśl. Wiedział, że Dolin był jeszcze wierniejszy swoim nienawiściom, niż swoim sympatjom. Czem objaśnić, że nie było go tutaj?

Piotr przypomniał sobie, że Jerzego widywano często w towarzystwie księcia Jussupowa. Czy ta nowa przyjaźń absorbowała go do tego stopnia, że zapomniał o dawniejszych, a nawet — o Manuiłowie?

Z tych rozmyślań, obudził go głos tego, którym się zajmował:

— Szukam cię, Piotrze.

Dolin mówił przyciszonym głosem. Ramiona były opuszczone, jak u zwyciężonego.

Laurentjew nie pomyślał o sformułowaniu wymówki, gdyż w oczach Jerzego odbijał się dziki ból, który wywoływał jednocześnie cierpienie i strach.

— A jednak przyrzekła mi, że przyjdzie, — ciągnął Jerzy. — Ale cesarzowa nie pozwoliła. Otrzymałem depeszę dziś zrana.

Uśmiechnął się smętnie:

— Prosi mnie, ażebym, przez wzgląd na resztki przyjaźni, zatelefonował jej o wyniku procesu. Po co?

Lecz tak trudno zniweczyć nadzieję. Zapytał z ożywieniem:

— Manuiłow będzie skazany? Co do tego niema wątpliwości, prawda?

— Powinien być. Jeżeli nie, to należy przypuszczać, że popycha się ludzi do samosądu.

Powieki Jerzego drgnęły. Myśl o tem, co miał uczynić nazajutrz w nocy, wymazała na chwilę z jego twarzy wszystkie inne troski. Laurentjew uchwycił tę zmianę.

— Zdaje mi się — rzekł, — że trafiłem w sedno.

Jerzy nie odpowiedział. Piotr badał namiętnie rysy przyjaciela. Ujrzał w nich wielkie odrętwienie, ale też i zamiar tajemny, nieubłagany, który spajał jak okucie żelazne tę twarz, gotową do poddania się.

— Jerzy, powiedz mi, co robiłeś przez ten miesiąc? — szepnął Laurentjew.

— Byłem w Mohylowie, jako kurjer. Widziałem cesarza.

Kiedyindziej Piotr zarzuciłby Jerzego szeregiem pytań. Ale sympatja, jaką żywił względem przyjaciela, pozwoliła mu wyczuć, że to widzenie było jednym z etapów na drodze bytu skierowanego nagle ku strasznemu i ukrytemu celowi.

— Masz jakieś poważne zamiary, — rzekł Laurentjew.

— Dowiesz się niebawem. Wszyscy się dowiedzą.

I niespodziewanie spojrzenie Jerzego zasnuło się gęstą mgłą. Laurentjew nie mógł pytać więcej.

Przeciągłe dzwonienie uciszyło wszelkie hałasy. Dolin i Piotr, do których przyłączył się Barnew, weszli do sali sądowej. W przejściu, jakiś młody dziennikarz zawołał wesoło:

— Nie rozumiem, czemu jesteśmy tutaj. Proces będzie nam ukradziony.

— Warto, — odpowiedział stary i ponury urzędnik — warto zobaczyć, jak się odbędzie ta kradzież.

Sala sądowa była wielka i naga. Na galerji, zarezerwowanej dla publiczności, były zajęte tylko dwie ławki.

— Widzisz, Piotrze, lud ma węch. Nie rusza się z domu bez powodu.

— Bądź cicho.

Na ławie oskarżonych zjawiły się między żołnierzami w polowych mundurach dwie postacie. Dolin nie widział nigdy Manuiłowa, lecz poznał go odrazu. Starannie ubrany, ogolony, z lśniącą twarzą, wyrazem podstępnej zuchwałości odbijał od swojego towarzysza. Ten drugi nosił wyszarzałą marynarkę, która mu zachodziła na szczęki. W tej bezbarwnej twarzy usta były dziwnie zaciśnięte.

— To Reicher, — rzekł Barnew, — współwinowajca. Niemy. Brak języka.

Dreszcz przebiegł Dolina. Nie zdając sobie sprawy dlaczego, ten człowiek niemy, którego Manuiłow wybrał sobie za wspólnika, wzbudzał w nim przerażenie.

Woźny zawołał:

— Panowie, Sąd!

Najpierw zasiedli sędziowie przysięgli, a następnie sędziowie w mundurach urzędniczych — długich żakietach ze złotemi guzikami. Nastąpiło milczenie, które przerwał przewodniczący, bawiący się srebrnym łańcuchem, opadającym mu na piersi.

— Pan jest asesorem Manuiłowem, w wieku lat czterdziestu pięciu? Otrzymał pan kopję aktu oskarżenia?

— Tak — odrzekł oskarżony, głosem tryumfalnym, i zarazem służalczym.

— Pan jest — ciągnął przewodniczący — mieszczaninem Reicherem, w wieku lat pięćdziesięciu trzech?

Niemy, nie otwierając ust, uczynił przytakujący znak głową.

Zaledwie ukończono formalności, obrońca zażądał z mocą, ażeby wyłączono z oskarżenia sprawę cywilną. Miało się wrażenie, że pragnął swoją natarczywością ożywić ten proces, który rozwijał się nieprawidłowo, w atmosferze lodowatego przymusu. Odpowiedzieli przeciwnicy. Nastąpiła wymiana zdań zjadliwa i oschła, podobna do kanonady. Dolin, nie mogąc zrozumieć dyskusji, śledził jej wrażenia na twarzach sędziów. Lecz twarze te były zamknięte i wyglądały, jak maski, włożone na długie żakiety. Zdawało się Jerzemu, że ci ludzie są głusi.

Gdy trybunał odrzucił żądania obrony, Laurentjew musiał ścisnąć mocno rękę Dolina, ażeby zrozumiał, że sprawa toczy się po linji jego życzeń. Dało mu to chwilowe zadowolenie, które szybko minęło.

Przewodniczący odczytywał listę świadków. Oto nikt, lub prawie nikt, nie odpowiadał. Jerzy nie mógł pojąć, jak doniosłe znaczenie miała nieobecność świadków, ale za każdym razem, gdy rozbrzmiewało jakieś nazwisko, a jednocześnie powód motywujący nieobecność tego, który je nosił, Dolin wyczuwał instynktownie, że przegrywa.

Słyszał:

— Generał Batiuszin. Nieobecny. Powód: pilne sprawy służbowe.

— Senator Belecki. Nieobecny. Powód: wrzód na policzku, stwierdzony przez świadectwo lekarskie.

Dolin nie usłyszał śmiechów, które źle stłumione rozległy się w tej chwili, lecz uprzytomnił sobie Stefana Piotrowicza, w swojem mieszkaniu, przecinającego starannie cytrynę. Nieobecność tego człowieka, wpływowego i tajemniczego, przygnębiła go jak wyrok, bez apelacji. I podczas gdy, w dalszym ciągu wywoływano nieobecnych, Jerzy miał już przeświadczenie, że wszystko było z góry dokonane. Sędziowie nie słyszeli, a niemy nie przemówi.

W sali tej było tylko oszukaństwo.

Gdy przewodniczący zakończył odczytywanie listy świadków, sala straciła napięcie. Teraz miał zabrać głos prokurator, który nie mógł pokryć strasznego zakłopotania.

Jedyny Manuiłow zachowywał spokój i zdawał się być oderwanym od tego, co się działo dokoła niego. Od czasu do czasu podnosił do oczu tłustą rękę, jakgdyby chcąc zasłonić zbyt widoczną pewność siebie i sekret, którego nikt nie znał.

Prokurator wstał. Szybkiemi, urywanemi słowami, głosem bezbarwnym, stawiał wniosek, o odroczenie sprawy z powodu nieobecności świadków. Laurentjew nie śmiał spojrzeć na Dolina. Lecz Jerzy nie rozumiał jeszcze.

Widząc, że sędziowie opuszczali fotele, ażeby udać się na narady, zapytał:

— Czy jest jeszcze nadzieja?

— Narady nie skończą się tak prędko — rzekł Laurentjew. — Wyjdźmy.

W korytarzach rozlegały się śmiechy.

Zniknęła ciekawość. Czy sprawa nie była już rozstrzygnięta?

Wtem Piotr podskoczył. Nie mógł zapanować nad odruchem.

Manuiłow uśmiechnięty i bez straży sunął im naprzeciw. Laurentjew, pociągnął Jerzego na stronę, lecz Barnew zaczekał. Kochał tylko swój zawód.

— A więc, mój drogi — zapytał obwinionego — powiesz mi chyba coś ciekawego?

Manuiłow rzucił na dziennikarza niewinne spojrzenie.

— Wiesz doskonale, że jest to intryga — rzekł. — Chcą uczynić ze mnie kozła ofiarnego.

— A sprawa szantażu?

— Żartujesz! — zawołał Manuiłow z prostotą. — Drobiazg, idzie o pięćset rubli, które w dodatku zwróciłem, gdy rzecz nie przyszła do skutku.

Trybunał postanowił odroczyć sprawę.

IX

URYWEK Z LISTU

Do cesarza. Główna Kwatera

Carskoje Sioło, 15 Grudnia

„Mój ukochany!

„Jestem ci tak wdzięczna (i Ania również) za Manuiłowa... Zamierzano zrobić skandal i wmieszać w to szereg nazwisk, a mnóstwo osób wybierało się na tę sprawę. Raz jeszcze dziękuję ci, mój kochany!

„Nasz Przyjaciel był u Ani. Nie wychodziłam z jej domu...

„Wierz w rady Naszego Przyjaciela. Nawet dzieci zauważyły, że nic się nam nie udaje, gdy ich nie słuchamy, i że wszystko idzie pomyślnie, gdy jesteśmy Mu posłuszni.

„Ścieżka jest wąska, ale trzeba nią iść prosto, nie krokami ludzkiemi, lecz boskiemi.

„Błogosławię cię, kocham, całuję i pieszczę bez końca, mój drogi miły mężu.

„Twoje słoneczko".

(D. c. n.).

EUSTACHY CZEKALSKI

2) Dwadzieścia osiem schodów z pałacu Piłata

Chciał jej wyłożyć poglądy nauki. Nie chciała go słuchać. Obcięła kategorycznie:

— Nie interesują mnie te wywody.

Kluczył więc drożynami przymilnych słówek, łaskotliwych próżnostek. Byli przy Tybrze. Rzeźwiące powietrze wieczorne wyprowadziło ludzi z mieszkań. Bastjon Św. Michała majaczył ciemną beczkowatą plamą. Sandro zrozumiał, że złą obrał metodę. Postanowił pójść życzeniom Gracji na spotkanie. Znów rzucał jej do nóg naręcza słów gorących, młodych, niespokojnych. Znów miał na oku tylko cel jedyny: nie spłoszyć uroczej rozkosznej dziewczyny.

Gdy przechodzili przez most i szedł za nią — objął wzrokiem dorodną, zgrabną jej postać. Jak majestatycznie, harmonijnie, wdzięcznie rysowała się jej sylweta w ruchu. Wydawało mu się, że zeszła z Kapitolu czarodziejska Venus i wiedzie go za sobą, jak zwidzenie fantazji.

Korzystał z każdej chwili, by zatrzeć nieopatrzne słowa, wypowiedziane na Gianiculo. Mógł się pocieszyć pewnym rezultatem:

— Przyrzekła, że przyjdzie jutro na plac Św. Jana na Lateranie.... .

*
* *

Przy małym kościołku na Lateranie krążył Sandro niecierpliwie. Poddał się, jak sądził, jej fantazji. Liczył, że uległością tą w niedalekiej przyszłości zrealizuje wszystkie swoje nadzieje.

Nad Rzymem rozedrgane światło upalnego dnia wisiało, jak pajęcza, jedwabna, błyszcząca przesłona. Miało się ku wieczorowi.

Gracja dotrzymała przyrzeczenia. Powitała się uprzejmie, lecz chłodno. Natychmiast poszła w stronę kościołka, gdzie przechowują się schody z pałacu Piłata w Jerozolimie. Sandro chciał z nią kilka słów zamienić — nie mógł. Błyskawicznie znalazł się u świętych stopni.

Gracja uklękła i wzniosła oczy ku górze. Usta jej szeptały słowa modlitewne: prosiła Boga, by uleczył jej serce. Sandro musiał też uklęknąć. Obejrzał się. Za sobą ujrzał staruszka księdza, sprzedającego dewocjonalja. Na schodach w modlitwie i kontemplacji odbywali drogę skruchy i prośby mężczyźni i kobiety, ubodzy i dostatnio ubrani.

— Chwilo wzruszająca! O, serce, wezbrane nadmiarem miłości! Po stopniach tych wchodził i schodził Zbawiciel, niosąc brzemię Golgoty. Być może, iż na każdym z tych schodów padła łza odkupienia.

Gracja wolno, rozważnie posuwała się od stopnia do stopnia. Sandro na kolanach szedł wraz z nią, czuł się jednak obco. Gdy podniosła w modlitwie wzrok ku górze, była to jedyna dla niego przyjemna chwila. Zauważył, iż oczy jej, duże, pełne siły i wyrazu, były zielone, jak liście róż. Skupiona, bladawa twarz płonęła żarem modlitwy. Gdy znaleźli się u szczytu schodów, Gracja szeptem powiedziała:

— Przysięgnij na Mękę Zbawiciela, iż prawdą są twoje słowa...

— Przysięgam — odpowiedział.

— Przysięgnij, iż myśli twoje w stosunku do mnie są dobre, uczciwe...

— Przysięgam — powtórzył bez przekonania.

*
* *

Gdzie ciebie chowano, że dusza twoja pełna jest żarliwości?.... — zapytał, gdy wyszli z kościołka na obszerny plac

— W klasztorze. Jestem przecież sierotą...

Sandro przypuszczał, iż nadeszła teraz chwila, by posunąć się cokolwiek w zalotach. Chciał otoczyć ją ramieniem, gdy schodzili na dół. Delikatnie odsunęła jego rękę. Nie wracał już więcej do spraw jej wiary. Postanowił wesołą rozmową wytworzyć w niej nastrój bardziej lekki.

Zaproponował jej pójście do kina. Podziękowała. Mówił jej gorąco o muzyce, teatrze. Chciał umówić się z nią na jutrzejsze przedstawienie operowe. Odmówiła. Manewrował, że zaprosi go do swego mieszkania. Niestety, zręcznie ominęła jego chęci. Zapowiedziała natomiast, że jutro przyjdzie na Kapitol.

*
* *

Gracja długo w nocy rozważała słowa jego przysięgi. Nie podobało się jej brzmienie szeptu Sandra. Był to jakiś złowrogi, nieprzytomny dysonans, którego treść kłóciła się z formą. Przysiągł jednak! Uczynił, czego żądała! Znużyła się niepomiernie jej dusza w rozterce. Błyszczące, czarne, ogniste włosy Sandra majaczyły się w jej oczach kochających. Ach, jak wtuliłaby się w jego rozrośnięte, twarde bary! I przypomniały jej się słowa konfesjonału. Był już świt, gdy zasnęła.

Sandro spędził wieczór w towarzystwie swoich kompanów. Próbowali do późnego wieczora win toskańskich. I znów rozmowy toczyły się koło spraw sercowych. Rozgrzany winem, grubas dowodził:

— Nie można być niecierpliwym. Trzeba uważnie, subtelnie, krok za krokiem zdobywać zaufanie. Inna jest sprawa, gdy staliśmy się panami sytuacji...

W słowa grubasa wsłuchiwał się Sandro. Trafiały mu do przekonania.

*
* *

Już zapalono światła elektryczne. Konny posąg Marka Aureljusza na placu Kapitolińskim połyskiwał szczerbami rdzy. Sandro oglądał go z zaciekawieniem, choć podziwiał to dzieło sztuki rzeźbiarskiej w każdej porze dnia i nocy. Nie spostrzegł, że na schodach u trawnika, gdzie znajduje się w klatce wilczyca, stała Gracja. Natychmiast podbiegł do niej. Przywitali się konwencjonalnie. Sandro dla kurażu przy kolacji wypił zbyteczny litr wina. Był więc rozmowny. Gdy weszli pod arkady muzeum Kapitolińskiego, wbrew swojej intencji, wbrew zamierzeniom przekornie powiedział:

— Kocham cię, a dziwną mi się wydajesz?...

— Cóż cię tak dziwi?

— Choćby ta wczorajsza przysięga. Cóż to ma wspólnego z życiem?...

— Nie wierzysz, że sędzią uczynków ludzkich jest Bóg?...

— Gdyby istniała sprawiedliwość nadludzka— skąd brałyby się wojny, epidemje, nieszczęścia? Jeżeli Bóg jest dobry i sprawiedliwy, czemu dręczą się w cierpieniu, niedostatku, rozterce narody, ludzie, zwierzęta?

— Nie bluźnij! — nieustępliwie odrzekła.

Przeszli w stronę wirydarzyka koło gmachu Palazze dei Conservatori. Pusto i cicho było na historycznym placyku. Podeszli do muru. Znów widzieli Rzym, rozbłyskujący światłami elektrycznemi, rozesłany u ich nóg. Znaleźli się u miejsca, skąd starożytni rzymianie wykonywali swoje dotkliwe wyroki. Tak zwana „Skała Tarpejska" nie wyglądała groźnie. Ocembrowano ją murem. Na dole stały wysokie domy. Maleńkie zaśmiecone podwóreczka otaczały z trzech prawie stron wzgórze Kapitolińskie. „Rupa Tarpea" od dołu obrastała jakiemiś krzewami.

Sandro nie ustawał w swoich wywodach krytycznych. Chciał ją skłonić, by odróżniała wiarę, naukę, sprawiedliwość, umiejętność, zręczność. Upojony własnemi konceptami, brnął w coraz odważniejsze dowodzenia. Gracja milczała. Prawie że nie słuchała jego słów. Tak malowniczo wygląda przecież Rzym z tej strony wzgórza Kapitolińskiego! Sandro zaczął przed nią pokazywać różne figle. Podśpiewywał, tańczył. Wreszcie nierozważny zuchwale, szaleńczo powiedział:

— Jak przypuszczasz, czy będzie to kwestja zręczności, czy wyroku boskiego, gdy zatańczę na tym murze?...

— Nie chcę widzieć! — Z odrazą odeszła cokolwiek w stronę.

Sandro zwinnie wskoczył na mur i zaczął nogami wyrzucać jakiś marynarski egzotyczny taniec. Pogwizdywał sobie głośno, buńczucznie. Zza pałacu Konserwatorów wypełzły dwa cienie karabinjerów.

Gracja oddaliła się: Szaleństwo Sandra wzbudziło w niej wstręt i zgrozę. O, jakże prosić będzie Boga, by oświetlił jego duszę!

Wtem umilkł gwizd! Gdy obróciła głowę, ujrzała biegnących do muru karabinjerów.

Zrozumiała. Sandro spadł.

Stanęła bezradna. Nogi zatrzęsły się pod nią.

Karabinjerzy przebiegli koło Gracji z krzykiem:

— Na pomoc! Na pomoc!

Gdy krętemi dróżkami przedostali się do zbroczonego ciała Sandra, zauważyli, że wraz z nimi przybiegła jakaś wylękła, przerażona młoda dziewczyna. Uklękła u zakrwawionego ciała. Sandro już nie żył.

Aksamitne, wygwieżdżone, rzymskie niebo, pamiętające, niejedno ludzkie szaleństwo, rzuciło swój czarny płaszcz na zbolałe ramiona Gracji.

K O N I E C

Rzym, 14 czerwca 1927 r.

Z tajemnic borów litewskich

Niedawne to czasy, gdy Polacy wraz z Litwinami, robili powstanie przeciw Moskwie. Czasy te przecież minęły. Wróg wbił się teraz klinem między dwa bratnie narody. Nie szczędzi pieniędzy, judzi, podburza, fanatyzuje. O cóż chodzi?

Moskale i Niemce potrzebują Litwy, jako pomostu w rozwoju swojej ekspansji politycznej i gospodarczej. Stąd płynie... sentyment do państwa Kowieńskiego. Pewnym sferom na Litwie ta opieka jest bardzo na rękę.

Nie są to zjawiska nowe. Po roku 1905 identyczne wpływy podsycały walkę z żywiołem polskim na terenie litewskim. Kto brał udział w tej domowej wojnie! Należy to powiedzieć bez osłonek: Kler litewski.

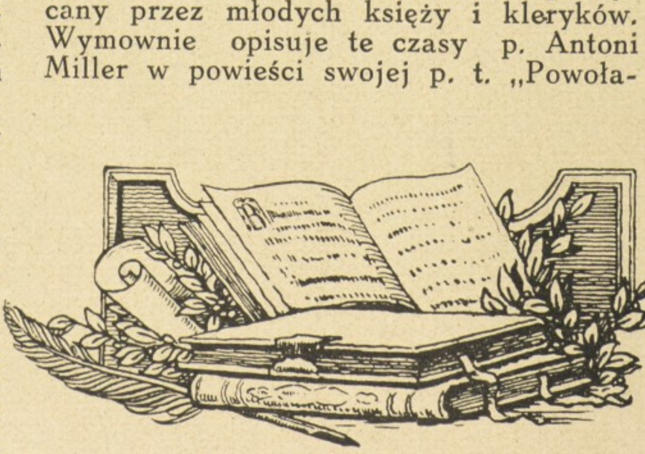
Separatyzm litewski wyrósł, jako idea, wyhodowana przez plebanję.

Z rzeczy tej zdają sobie dokładnie sprawę czynniki polityczne: tylko przez kler można teraz trafić do duszy ludu litewskiego. Zagadnienie przyszłych stosunków sąsiedzkich polsko - litewskich w dużym stopniu zależne są od tej warstwy działaczy społecznych i politycznych.

Nie można powiedzieć, byśmy zdobyli sobie wśród tych sfer kierowniczych opinji litewskiej jakąkolwiek sympatję. Przychodzi to tem trudniej, że w Kowieńszczyźnie pracują wpływy rosyjskie i niemieckie: moskale uderzają w ton klasowy przeciw „polskim panom", nie szczędząc pieniędzy, niemcy straszą widmem wynarodowienia, również poświęcając na ten cel znaczne środki. Opinja litewska obałamucona jest i zahukana. Odważniejsze głosy są teroryzowane.

Był gościem w Polsce prof. uniwersytetu kowieńskiego J. A. Herbaczewski. Starał się on nawiązać kontakt ze sferami naukowemi, literackiemi, artystycznemi. Kilkakrotnie informował o stanie umysłowości litewskiej, o prądach politycznych, o narastaniu nowych ideologji. Szukał porozumienia między Warszawą i Kownem. Wnet ze strony litewskiej prasy nacjonalistyczno - klerykalnej posypały się pod adresem prof. Herbaczewskiego inwektywy. Czemu? Uznaje on kulturę duchową Polski. Pamięta ideę przymierza Jagiellońskiego. Stare to przykazanie testamentu Zygmunta Augusta nie należy niestety, teraz na Litwie do prawd naczelnych".

Podkopywać zaczęło je pokolenie z przed lat trzydziestu. Z początku był to „ruch litwomański", przeważnie podsycany przez młodych księży i kleryków. Wymownie opisuje te czasy p. Antoni Miller w powieści swojej p. t. „Powołanie". Powieść ta przypomina również słynny proces Krożański. Była to chwila zbratania w cierpieniu i prześladowaniu. Moskale zamknęli kościół Krożański, maltretując ludność. Ołtarza bronili polacy i litwini. Razem zasiedli na ławie oskarżonych.



Proces na chwilę złagodził antagonizm: litwini i polacy poznali po pazurach wspólnego wroga.

Powieść p. Antoniego Millera wystawia naogół niebardzo pochlebne świadectwo klerowi litewskiemu z tych czasów. Czy wszyscy ówcześni duchowni litewscy byli powołani do sprawowania wysokiego urzędu kapłańskiego? Sądząc z tych osobników, jakich poznajemy w seminarjum wileńskiem, na wakacjach nad Niemnem, nie byli to ludzie o mocnych, duchowych ostojach. Plątali się nawet w fałdy sukien niewieścich. I między nimi zdarzały się jednostki o jakiej takiej woli, inteligencji i ofiarności. Seminarjum jednak nie wpływało na nich łagodnie a wychowawczo w kierunku pojednawczo - polskim.

Opowieść p. Antoniego Millera zdobią piękne opisy przyrody litewskiej. Czar lasów, urok starej ziemi Gedyminów przesłania smętny obraz wiecu u Ambrożajtysów. Ksiądz Solmar pewno jest teraz ministrem w Kownie:: Pod lipą starego Juralisa nawoływał do zdrady Polski.

Czyżby miał nawrócić się obecnie?

Zagadnienie litewskie będą musieli rozwiązać wychowańcy księdza Solmara. Złe owoce daje zdrada. Powoli wśród inteligencji litewskiej musi się odrodzić myśl o braterstwie Orła z Pogonią.

Dr. Z. M.